

Rys. Wacław Boratyński.

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

ROK VII. KRAKÓW, 15. GRUDNIA 1930. NR. 4.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VII. KRAKÓW - 15. GRUDNIA 1930. № 4.

* * *

Nadeszła chwila radosna,
Co słońcem w sercach zagości —
Więcej znacząca, niż wiosna,
więcej, niż wszystkie miłości:

— oto na padół ten płaczu
z krainy górnych przestworzy
pomiędzy ludzi — tułaczy
w ubóstwie zstąpił Syn Boży,

by winy okupić swym potem
i cierpieniami swojemi —
i wszystkim wrócić z powrotem
raj utracony na ziemi!...

E. Kłoniecki.

JASEŁKA

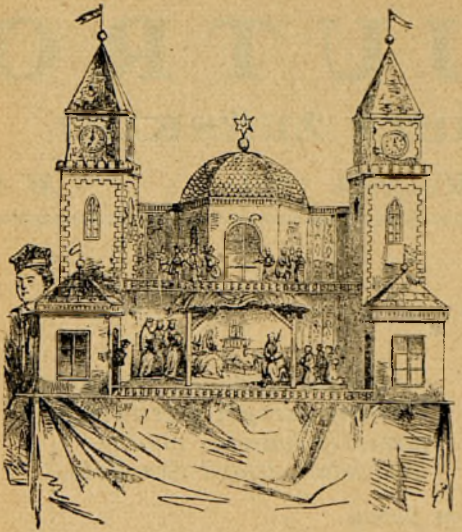
Do najpiękniejszych, starodawnych tradycyj polskich, do dziś dnia zachowanych, należą jasełka.

Jasełka, są to figurki wyobrażające scenę Narodzenia Pańskiego w stajence szopka zaś — to mały teatr ze sceną i ruchomemi figurkami.

Genezy powstania jasełek należy szukać w misterjach religijnych, tak często grywanych w średnich wiekach po kościołach, w okresie Bożego Narodzenia. Kościół aprobował bardzo te widowiska, lecz głośnemi stały się one wtedy gdy św. Franciszek z Assyżu wywiódł je z murów kościelnych i wyprowadził na szeroki świat. Wedle legendy bowiem, św. Franciszek inscenizował jasełka w przepięknej leśnej okolicy Greccio, na tle czarującej południowej natury, w dniu Narodzenia Chrystusa. o północy. Jasełka te, grane w gwiaździstą noc, pod włoskiem niebem, tak naiwne w swej prostocie, a zarazem tak potężne w treści — przez tajemnicę cudownego wcielenia się Boga w człowieka — wywierały ogromny wpływ na widzów. Dowiadujemy się o tem z książki p. t. „Życiorys św. Franciszka" przez Tomasza Celano, w której autor poświęca szereg stronic opisowi uroczystości jasełkowych w Greccio, nie szczędząc pochwał i zachwytu.

Wspaniała inscenizacja jasełek natchnęła Giotta do odtworzenia jej w kościele św. Franciszka w Assyżu. Za nim poszli i inni malarze — jak Taddeo Gaddi, oraz Benozzo Gozzoli.

W XIV. w. kult jasełek przeszczepił się na grunt polski. Wszystkie zakony reguły św. Franciszka, jak minoryci, reformaci, kapucyni, bernardyni i klaryski przejęły ten piękny zwyczaj jasełkowy — i przechowały do dziś dnia. Ze szczególnem zamiłowaniem szerzyły ten



Szopka krakowska z połowy XIX w.

zwyczaj klaryski przy kościele św. Andrzeja w Krakowie, u których do dziś dnia są przechowane najstarsze w Europie figurki jasełkowe.

Treścią jasełek było Narodzenie Pańskie, przebudzenie pasterzy przez aniołów i pokłon trzech króli.

Zwykle grywano je w kościołach, w godzinach wolnych od nabożeństwa.

W późniejszych wiekach bernardyni i franciszkanie wprowadzili, figurki ruchome, przez co jasełka tracą swą dawną formę, a przybierają piętno teatru marjonetkowego. Największym kultem cieszyły się jasełka we Włoszech, a zwłaszcza w Neapolu — gdzie wyrabiano słynne figurki jasełkowe, wychodzące z warstatu Giuseppe'a Sammartino. Z Neapolu przedostawały się figurki do całej Europy, a nawet i do Polski. (Galerję takich laleczek neapolitańskich posiada muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie).

W XVII. i XVIII. wieku dochodzą jasełka do rozkwitu. Forma ich zmienia się, na miejsce dawnej naiwnej, a tak ujmującej prostoty i szczerości zjawia się nienaturalna pompa teatralna. Z biegiem czasu dodawano figurki osób świeckich i wprowadzono nowy tekst, oparty na aktualnych faktach. Często owe zmiany w tekście nie licowały z majestatyczną powagą Kościoła, i dlatego to, książę Teodor Czartoryski, biskup poznański zakazał wystawiania jasełek po kościołach. I tak jasełka znalazły się na nowym gruncie, przechodząc z murów kościelnych na ulicę, i przybierając nową formę t. zw. „szopki". Tak skończył się żywot średniowiecznych jasełek, które teraz poniewierają się na strychach, ustępując miejsce wspaniałej szopce, urządzonej zwykle z wielkim przepychem.

Kolebką szopki polskiej miała być Warszawa, szybko się jednak spopularyzowała w całym kraju, a najpiękniej rozwinęła się w Krakowie, wyróżniając się od jasełek innych narodów dwiema charakterystycznemi cechami: architekturą, mającą wzór wieżowej fasady kościelnej i połączeniem jej z ruchomemi figurkami. Szopka krakowska miała ogromne powodzenie, szczególnie wśród niższych warstw ludności, dzięki pierwiastkowi rodzajowemu, jaki przeważał w tekście. Szopka bowiem była barwnym kalejdoskopem, w którym przed



„Szopka krakowska" L. Wyczółkowski.

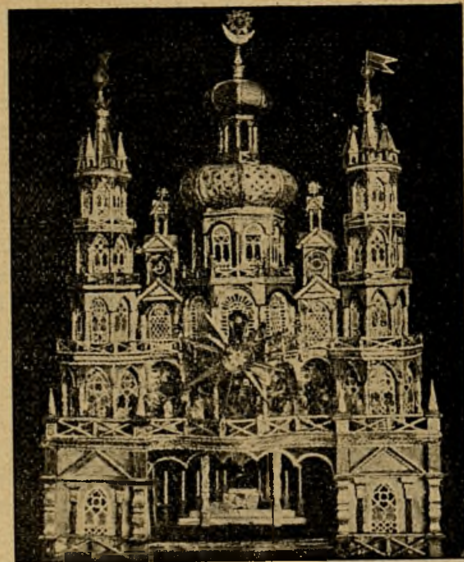
oczami widza przewijały się bez tchu sceny z życia wzięte, tryskające często humorem i dowcipem.

W piękne wieczory grudniowe snuły się od dworu do dworu, od domu do domu, gromady wiejskich chłopców z szopką. Przyjmowani zawsze życzliwie improwizowali na prędce scenę. Wystarczyły na to cztery drążki, które spajano w czworobok.

Na tle dekoracji malowanej, przymocowanej do tylnego drążka, (patrz — „Szopka polska" dr. Jan Krupski) przesuwano lalki zatknięte na patykach, śpiewano przytem kolendy.

Scenę taką po mistrzowsku odtworzył Norblin de la Gourdaine, sławny malarz francuski, przebywający w Polsce na dworze księcia Adama Czartoryskiego.

W czasach przedwojennych zamiłowany szopkarz Michał Ezenekier, murarz z Krowodrzy, wybudował wspaniałą szopkę, będącą niewątpliwie najpiękniejszą na gruncie krakowskim, tak pod względem konstrukcji, jakoteż wykonania artystycznego. Szopką żywo interesowała się cała cyganerja artystyczna Krakowa — że wspomnę choćby znaną, wszystkim. „Szopkę z Zielonego Balonika", czy wspaniały utwór Lucjana Rydla: „Betleem polskie" z świetnymi rysunkami Włodzimierza Tetmajera, czy wreszcie obraz L. Wyczółkowskiego. Obraz ten zatytułowany „Szopka krakowska", przedstawia Stańczyka na tle figurek szopkowych, zadumanego nad temi okruchami rodzimej tradycji — przypominającej dawne świetlane i pełne chwały dzieje Polski minionej. Na krótko przed wojną rząd austrjacki zabronił w Krakowie widowisk szopkowych, rzekomo w celu niezakłócania spokoju mieszkańcom, a naprawdę dla celów politycznych, gdyż w tekście było dużo piosenek treści patrjotycznej.



Dzisiejsza „szopka krakowska".

I tak zdawało się, że piękny ten zwyczaj zaginie.

Lecz w roku 1923 „Muzeum Przemysłowe", wskrzesiło tę tradycję, budując na wzór szopki Ezenekiera nową i urządzając przedstawienia — ściągające co roku liczną dziatwę.

Za przykładem Muzeum poszły szkoły i szopka dziś znowu zaczyna wracać do życia, grana już nietylko przez wyrostki uliczne, lecz i przez młodzież szkolną i zespoły teatralne.

Halina Skrudlikówna.

Z cyklu: „Z ziemi śląskiej".

MIÓD W SERCU

Stary Koczwara wziął siekierę, wsunął pod surdut i wybrał się do lasu.

Śnieg tego roku w górach tylko siedział. Widać go była za dnia, jak swoją czapicą okrywał Jaworowy. Na groniach też. W dolinach czasem zapadał, potem ciepły wiater go zlizał i już go nie było. Na drogach chlupotało czarne topielisko rzadkiego błota. Mrok szedł z niego i jakiś ziąb przemierzły. Szpetne

tego roku święta, bardzo szpetne, do świąt ani kapkę nie podobne.

Z rzadka mzyły światełka przydrożne do wysokich słupów uczepione. Z kopalni siał srebrnawy poblask mnogich kul mlecznych, jarzących się wysoko ponad mostami, hałdami, wszędzie.

Koczwara wybrał się po jedliczkę do lasu. Akurat o zmroku, bo nikt nie zobaczy. I grzech to i złodziejstwo kraść jedliczki z lasu. Ale cóż robić? W lesie ich moc, a chociaż se tam jedną uszczyknie, to kopalnia nie zbankrutuje. Jeszcze urośnie dość inszych a piekniejszych.

Ale cieszył się też Koczwara na tę świętą wilię, cieszył!... Cały rok o niej myslał i głowił się ciężko, jak to uczynić, by w święty wieczór uzyskać urlop. Mój Boże!... przynajmniej ten jeden raz!... Jak calutko boży rok pilnie chadzał na szychtę, noc za nocą, dzień wedle dnia, jak już tam trafiło — pilnował maszyn, jak oka w głowie, oliwy dolewał, czyścił, ochraniał... Maszyna zwyrtała przeogromnem koliskiem, zbyrczała chrapliwie, dygotała, a poza ścianą w szerokim kominie wiatr potworny szalał, wicher stonaramny, kłębił się szarpany skrzydliskami wiatraka, co z kopalni słodkawe powietrze przepaścistą studnią cyckał. Sączył się z poza tamtej ściany grubawy, dudniący, głuchy pomruk wichrzyska, pranego rozszalałym wiatrakiem, jakby stoset kotów, po grzbiecie głaskanych, sytych, poza murem siedziało i z uradowania wielkiego mruczało...

Już dawno pracowicie w kalendarzu wyliczył, że mu akurat szychta w ten święty wieczór przypadnie. Od szóstej wieczora do szóstej rana. Na, że też to musiało tak trafić?... Czemu nie inakszy?... Ale to już tak na świecie!...

Koczwara wie, co zrobi. Zajdzie do pana inżyniera, poprosi pięknie, drzewa paniczce urąbie, wody nanosi, paniczka za nim się przymówi i pan inżynier zgodzi się... I będzie dobrze.

Pan inżynier głową kiwał, że nie a nie... Ale potem paniczka przyszli, panoczka pieknie po gębulce pogłaskali i pan inżynier się zgodził.

— Tóż dobrze!... — powiedział — Ale musicie mi jeszcze jedną furę drzewa porąbać!...

— Dobrze, panie inżynier!... Dobrze!... — zgodził się Koczwara i furę drzewa porąbał.

Mój Boże, też to dzisiaj będzie wilija, ale będzie!... Rybę se już Koczwara kupił. Takiego bachratego karpia. Gruby i tłusty, brzuchaty i ciężki, jak małe prosię. Koczwara do putni wodziczki czystej nalał i karpia do wody wraził. A karpisko nic. Jeny czasem tym ocasem zafajta i wielkiemi, wyłupiastemi oczyma ślepi na Koczwarę. Koczwara stoi nad putnią, patrzy się na karpia, fajkę pyka i raduje się... Piekno ryba... saperlajdy kandy!... Ryba siedzi w ciasnej putni, grzebie ocasem w wodziczce, a z pyszczku to se takie banieczki puszcza... Bul... bul... bul... A za chwilę znowu: bul... bul... bul!...

Masno, co za ścianą mieszka, karpia zabije, wypitwie, osnoży, potem usmaży i będzie po paradzie.

Orzechów też se już kupił... Cztery odłożył, co mu zdrowie wróżyć mają. Miodu przyniósł mu w garnuszku młody Plinta z Darkowa, opłatki zaś ma od kościelnego. Wszystko już ma, co na wiliję trzeba...

Teraz jeszcze idzie po jedliczkę. Postawi na stole, w takie dwa ustrugane kłopetki wrazi, w wywiertaną dziurkę włoży, świeczki drucikiem do gałązek przymocuje, zawiesi co potrzeba, a więc jabłka, orzechy pozłacane, łańcuch z kolorowego papieru i jaki piernik, potem świeczki zapali i będzie święta wilija. Mój Boże kandy!...

Świeczki na jedliczce gorzeją, gorzeją... jabłuszka się bambylają, złociste orzechy migocą, w piecu ogienek mruczy, a Koczwara siedzi se na ławce podle pieca, harmonję naciąga, paluchami po jej pedałkach wymyślnie przebiera i gra!... Kolendy gra!... Raz taką, potem zaś owaką. Przybierzeli do Belejem pasterze... lebo: Wśród nocnej

ciszy... lebo jeszcze insze... Paluchami przebiera po białych guziczkach z jednej strony, a z drugiej na basach du... du... du... du... du... du... Ani Kasperlik ną organach!...

Piekno wilja bydzie. Hej, jako piekno!...

Co se Koczwara przypomni, to mu miód w serce kapie. Słodki, złocisty miód. Kap... kap... kap... I tak w kółko. Już pełniutkie serce rzetelnego miodu!...

Piekno bydzie wilija!...

W lesie dużo jediczek. Chodzi o taką, by prosta była, smukła, z równemi gałązkami, tak szykownie na krzyż.. Jak już wilja, to jak się patrzy!...

Masno tam z pewnością jego rybę smaży, z kastrola na michę wybiera, raz wraz palce obliźnie, a dziecka warzechą odpędza, by nie dłubały, bo to Koczwarowa ryba.

Nachylił się Koczwara w lesie, wlazł pod niskie gałęzie. Po gębie go drapały.

— Dzisz!... I ta jedliczka a też się broni przed śmiercią!... — mruknął.

Wybrał jedną, oczyma zmierzył, obmacał — dobra jedliczka. Ciął siekierą, ciął drugi raz — jedliczka obaliła się. Ujął i wysmyczył na drogę.

Obejrzał się, czy kto nie idzie. Nikogo niema!... To dobrze!...

Tylko to błoto przenaramne! A prowde ludzie powiadają: — Święto Katarzyno po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie!...

Zarzucił jedliczkę na ramię i ruszył do domu.

A w sercu przelewa się miód złoty.

Albo miedzą iść, albo drogą? Zawahał się. Drogą pójdzie się lepiej, ale miedza poprowadzi go naprzejmo koło jego maszyny. Spojrzał tam. W ciemnej nocy widniały oświetlone prostokąty okien. Za oknami jego maszyna dudni... duch... duch... duch!... Duch... duch... duch!... Aż tu słyszy. Eh, pójdzie się popatrzeć. Rewenda, co go miał zastąpić, to głupi jeszcze synek. Powie mu, żeby uważał, żeby... broń Boże! — nie zapomniał oliwy naczas dolać, żeby... broń Boże! czego nie nawrożył!...

Zawrócił miedzą. Przedbiegł go w drodze rytmiczny łoskot maszyny, coraz głośniejsze dudnienie, pomruk skołtunionych wichrów w krótkim szerokim kominie blaszanym.

— Maszyna idzie! — szepnął zadowolony.

Pod oknem położył jedliczkę.

Wspiął się na palce i zajrzał do środka. Czarne kolisko dostrzegł. Czarne kolisko z lecącemi sprychami. Pod bokiem suwaki migają a koło nich, koło ściany, Rewenda stoi i płacze...

— Na toć staro baba — zadziwił się Koczwara. — Cóż tak beczy? Isto go zęby bolą, lebo co?

Wszedł do środka. Rewenda odwrócił się plecami do niego i szybko wytarł oczy.

— Ty, Rewenda, cóż tak beczysz?...

Chłopak zamroczył się. Nic nie powiedział.

— Cóż tak beczysz? Cóż ci jest? — nanukał Koczwara.

Tu już Rewenda nie wstrzymał. Dusił w sobie łzy, dusił, ale nie poradził.

— Toć, dobrze się wóm pytać!... — wykrztusił płaczliwie. — Jak jo tu muszę siedzieć a...

— A co?...

— ...jak jo tu muszę siedzieć, a tam mamulka sama została!...

— Kaj?

— No, w chałupie!... A tak się borok matczysko cieszyło, że bydzie ze mną wilije świętą razem odprawiać, a jo tu teraz muszę siedzieć, a ona tam sama...

— Na, dyć to nie jest mało dziouszka, dyś ją nic nie postraszy!... — starał się Koczwara wytłumaczyć mu dobrotliwie.

— Toć!... A borok matka bodej drugiej wiliji dożyje, a teraz te ostatnią chciała ze mną odprawić, a ona tam teraz sama a jo tu muszę za was siedzieć!... Pierońskie takie porządki!...

— Nie klnij tak brzydoku!... Przeca dzisio sie nie godzi kląć!... Święty wieczór przeca!... Czy twoja matka jest niemocno?...

— Toć!... Od roku już blisko leżą...

Miód wycieka strużką ze serca...

wycieka... wycieka...

Koczwara podrapał się po głowie, zamyślił ciężko.

Już niema miodu w sercu... ani drobinki niema...

— Wiesz ty co, Rewenda?... Idź se do chałupy, jo tu zostanę!

— Kaj iść? — patrzą się wytrzeszczone oczy chłopca. Wierzyć, czy nie wierzyć?...

— No, jako prawiem. Do chałupy idź i zbyte!

— Naprowdy?

— Prawiłech!... Bier se swoje pieczki a drzyj ku chałupie!...

— Pónbóczek wóm zapłać, Koczwaro!... Pónbóczek wóm zapłać!...

— Ale idź, idź!... — broni się Koczwara.

Zatrzasnęły się drzwi za Rewendą.

Koczwara wyszedł za nim.

— Ty!... Rewenda!... A mosz drzewko doma? — zawołał w noc.

— Ni móm!

— To weź se!... Pod oknem leży!...

Koczwara został sam. Maszyna dudni: duch... duch... duch... Duch... duch... duch!...

Koczwara stoi przy maszynie i po głowie się skrobie.

— Nie bydzie ryby... nie bydzie kolendy ani jedliczki ani nic... Pierona kandy!...

Maszyna dudni uradowana, rzegoce, skaczą ramieniska z uciechy, długi rzemień na kole kleszcze: klask!... klask!... klask!...

Za ścianą mruczy stoset kotów po grzbiecie głaskanych, z czegoś ogromnie zadowolonych.

W stare serce, troską zgryzione, znowu miód kapie: kap... kap... kap!... Jak gęsta żółta oliwa, co na rozmigotane kolisko wycieka.

Gustaw Morcinek.

Z POD DUSZY...



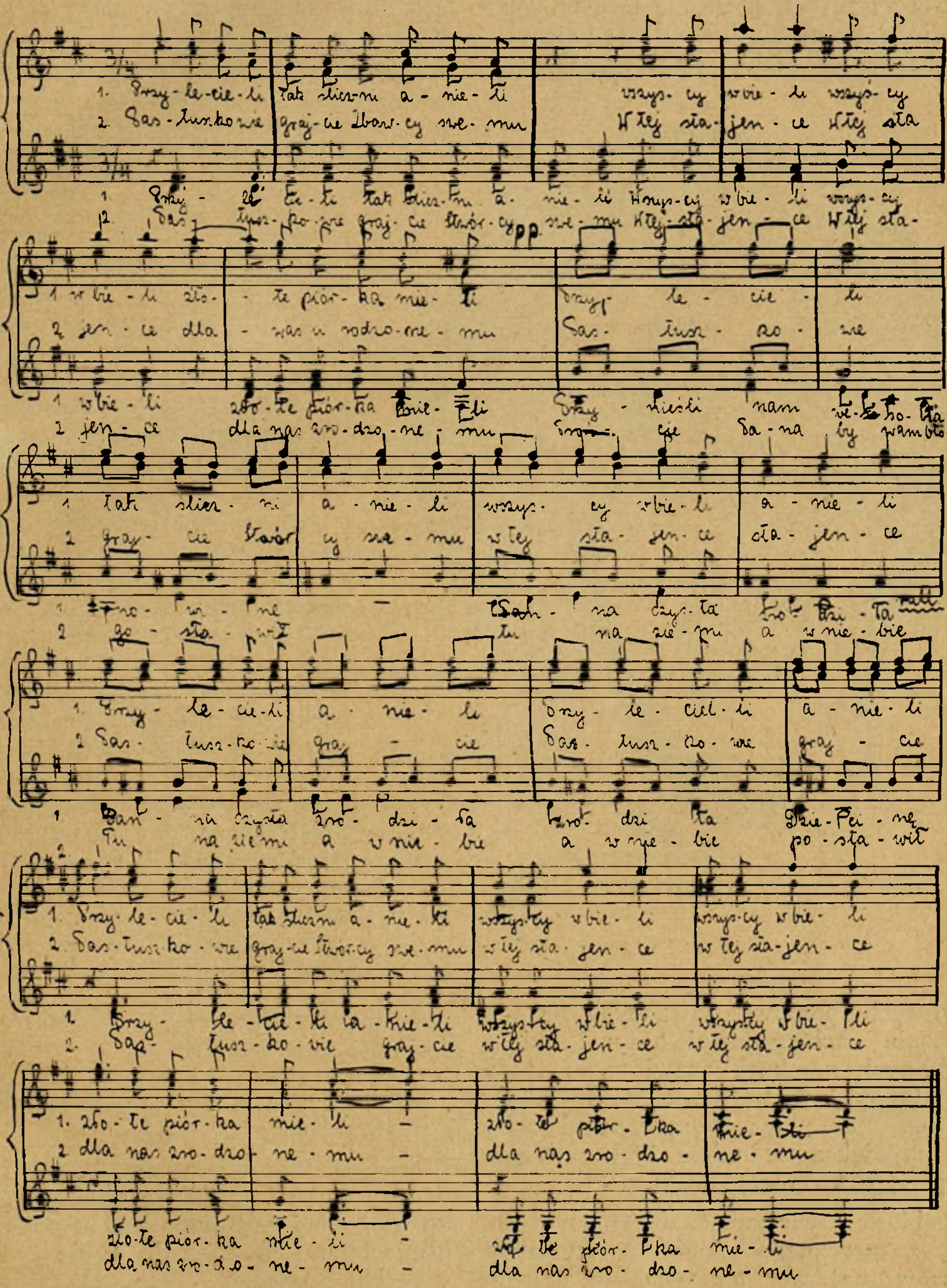
Wpatrzony w słońce,
co błyska
i z serc usuwa
zawiłość —
niosę dziś w Wasze
ognisko:
Wiarę, Nadzieję
i Miłość!...
i aby rychło
czas skruszył
wszelkie zapory
i lody,
rzucam każdemu
z pod duszy
uśmiech wieczystej
pogody!...

E. Kłoniecki.

PRZYLECIELI

KOLENDA NA CZTERO-GŁOSOWY CHÓR ŻEŃSKI

O. BERNARDINO RIZZI



BAJKA I LEGENDA

W mroku wyiskrzonej gwiazdami nocy mieszkała królowa Bajka. Miała pałace z zaszytych gąszczów leśnych, pełne rubinowych blasków i tajemniczych, nieprzebytych głębi, miała orszaki zło-



towłosych paziów, patrzących na nią wiecznie zachwyconemi oczyma, miała w leśnych zamkach rozwieszone tęcze i fontanny i wszystkie cuda, o jakich czasem marzą we śnie senne dzieci... ale największym cudem tych pałaców były oczy królowej Bajki.

Z bladej, wiecznie zamyślonej twarzy, z mrocznego cienia narzuconych włosów, patrzały na świat te dziwne oczy ani wesołe, ani smutne, ani łagodne, ani groźne, magnesowe oczy wróżki.

A kto raz spojrzał w oczy królowej Bajki, na tego padał urok. Gdy szła miastami, dziwnej jej władzy ulegali wszyscy mieszkańcy; dzieci stawały w oknach zapatrzone, upuściwszy na ziemię nowe zabawki i z paluszkiem w buzi słuchały odgłosu jej kroków. Po wsiach, jasnowłose prządki zaczynały wzdychać nad wrzecionami, wypatrując pilnie w noc ciemną. Stare wsiowe wiedźmy trącały się łokciami z przejęciem. Nawet małe pazie królowej zapominały cieszyć się cudami tęczowych pałaców, szły pod urokiem bajki, jak przez sen, wpatrzone w jej szerokie źrenice.

Ale oto pewnego dnia coś się jakby popsuło. Królowa, idąc zaśnieżoną drogą, spotkała raz małą dziewczynkę, obachutaną w futerko pod koniec różowego noska... i jak zwykle, spojrzała na nią. — Dziewczynka drgnęła, podniosła oczka jak gwiazdki, ale uśmiechnęła się i pobiegła dalej. Po chwili przeszło gościńcem dwóch chłopczyków w czerwonych czapeczkach. Szastnęli nóżkami zamaszyście, aż młodszy potknął się w śniegu... ale przeszli śpiesznie w tę samą stronę co dziewczynka. Za chłopcami przeszło jeszcze kilkoro dzieci, wszyscy w jedną stronę.

Królowa Bajka uczuła, że krew pulsuje jej w skroniach.

— Co to jest — pomyślała — zdarza mi się to pierwszy raz, czyżbym straciła urok?

Szybko, ukradkiem, przeglądnęła się w lusterku. Z gładkiej szybki wyjrzały ku niej oczy tak cudne, że uspokojona uśmiechnęła się sama do siebie.

— Nic groźnego — szepnęła — i po-

patrzała na swoich paziów. Ale po raz drugi ścisnęło jej się serce.

Paziowie patrzeli wprawdzie na nią, ale to u jednego to u drugiego migało w oczach, jakoby dziwne roztargnienie, jakoby myśl o czemś innem. Po chwili jeden odwrócił twarzyczkę w kierunku, w którym znikły dzieci, rzucił okiem śpiesznie, ukradkiem i znów popatrzył na królową. Za pierwszym odwrócił się drugi, za drugim trzeci — najpierw chwileczkę potem dłużej, wreszcie wszyscy poczęli biec gościńcem w tamtym kierunku, a Bajka, wytężając oczy, ujrzała z przerażeniem, że gościniec zaroił się od dzieci, idących zgodnie w jedną. stronę.

Załamała ręce — Co się dzieje — szepnęła przerażona.

Lecz po chwili uspokoiła się. Spostrzegła bowiem, że jakaś szara, smukła postać, odziana w tunikę pielgrzymią, przyzywa i prowadzi dzieci, i poznała odrazu swoją siostrzyczkę Legendę. Bajka kochała ją bardzo, zdziwienie jej jednak nie znikło wcale.

— Gdzie ta skromna, łagodna, zawsze pobożna siostrzyczka moja prowadzi wszystkie te dzieci — pomyślała. Pełna ciekawości, sama nie wiedząc kiedy, puściła się też w drogę i po chwili przyłączyła się do dzieci. Niektóre malce poznawały ją, uśmiechały się do niej przyjaźnie, ale wszystkie patrzyły na szarą, w tunikę pielgrzymią przybraną, postać Legendy.

Tymczasem orszak zatrzymał się przed zamkniętemi drzwiami. Bajka przecisnęła się przez dzieci i zbliżywszy sie do siostry, która klęczała teraz przed drzwiami, objęła ją ramieniem. Legenda odwróciła głowę i po raz pierwszy w życiu uderzyła Bajkę subtelna piękność jej łagodnej twarzy.

— Co to jest — szepnęła Bajka. — Cyt — odpowiedziała cichutko — Ty dziś nie możesz panować, dziś wigilja; więc ja tu przyprowadziłam dzieci, ale teraz obie cofnąć się musimy, bo jesteśmy przed drzwiami Rzeczywistości.

W tej chwili otworzyły się drzwi i olśnionym oczom Bajki ukazała się Szopka.

S. M. T.

RORATY

Smukła świeca — spowita w śniegi wstąg i kwiecie
Pośród gwiazd rozgorzałych w mrocznym tumie płonie.
Chłód płynie wielką nawą — a sercu jest przecie
Tak ciepło — tak radośnie — tak jakoś majowo —
Jakoby już klęczało przy niebieskim tronie —
Jak gdyby je objęły rajskich polan wonie —
Zaś Anieli darzyli śmiechem i rozmową.
Na którą w słocie tęsknot tyle lat czekamy,
Pukając młotem czynów do wieczności bramy.
W stallach rzeźbionych zasiadł świetny tłum widmowy
Co na jutrznię opuszcza twarde sarkofagi —
Wznoszą oczy na ołtarz śliczne białogłowy,
Brzęknęli w szablic głownie kanclerze, hetmani,
Senatory — o twarzach tak pełnych powagi,
Że to ich dostojeństwo jest jako miecz nagi,
Co wszelką chuć zaborczą dumnem pchnięciem rani,
Zaś każdej zbożnej sprawie tak życzliwie służy
Jak miodność, przyależna kwieciu krasnej róży.

Król sam zapalił pierwszą świecznicę roratnią,
A za nim cały naród przez swoje wybrańce
Chce niebo wraz ułowić blasku świętą matnią,
W której by oka drgają ziem tych mnogie stany
Co modlą się — i razem zdążają na szańce —
Kędy wciąż zabierają niesforne pohańce,
Boć swary żądz — pogodzi zawżdy on kochany
Cel — co o tej zorzanej godzinie tak świeci
Że treść jego zrozumią i mędrce — i dzieci.
Wieją pod sklepieniami dawnych westchnień echa,
Niejedna kolanami wyżłobiona płyta,
Opowiada pradawną świetność krajów Lecha,
I pomni łzy co padły na nią czasu klęski,
Kiedy wszelka nadzieja zdała się zabita,
Gdy konała pod jarzmem ta Rzeczpospolita,
Którą przecie ocalił czyn zwarty i męski,
Iżby po wszystkie wieki promiennie gorzała,
Jak pobożność serc wiernych — jak ta świeca biała!

A. Nagórska.

---

19)

KU SWOIM

Wyszedł tak szybko, że nie zdążyli nawet podziękować mu tak jak pragnęli. Wytarty chałat rozpełzł się w szarym świetle, znikł jak jedyny, ostatni przyjaciel. Z mimowolną obawą gromadka Turskich spoglądała na ponurą twarz gospodarza. Izba była dość duża, pociemniała od dymu, bez tak charakterystycznych dawniej w każdej chacie obrazów świętych. Na pustych ścianach wisiało kilka starych, popstrzonych przez muchy plakatów agitacyjynch sowieckich, ociekających niegdyś jaskrawą, dzisiaj spłowiałą czerwienią. W kącie pod pułapem pełgała, mgliła się i trzeszczała lampka przed ikoną zatlona, lecz z poczerniałej ramy nie spoglądało ciemne lico bizantyjskiej Bogarodzicy. Niepewny płomyk oświetlał włożoną w ramę ikony fotografję Lenina, jego tatarskie kose oczy i okrutny półuśmiech.

Drzwi skrzypnęły. Gospodyni — Paraska, czarna wiedźmowata, wniosła świeżo udojone mleko, spienione w skopku. Za nią z piosenką o Hryciu na ustach, z koromysłem, obciążonym pełnemi wiadrami na ramionach, weszła Ulana, córka. Roześmiała się do obcych wesoło — odwzajemnili z wdzięcznością ten uśmiech, pierwszy odruch ludzki w chacie Maksyma, przemytnika. Po krótkiej chwili zjawili się też obaj „synkowie": Iwan i Proć, draby wyższe od ojca, równie jak on ponure, zdrożone, ubłocone od stóp do głów, jak gdyby czołgali się po wilgotnej ziemi. Na widok czworga obcych, siedzących rzędem na ławie, wybuchnęli gniewem. Zasypali starego gradem przekleństw. Z wartkiego potoku ich słów wynikało, że nie myślą co noc głów nadstawiać za bylejaki zarobek. Stary zabierał wszystko, im dając nędzny ułomek zapłaty. Mieli tego dość. Żądali całej sumy. Stary wymyślał im schrypłym głosem, przeklinał, groził karą Bożą. Obaj synowie parskali na to szyderczym śmiechem i zapytywali, odkąd to batko przypomniał sobie o Bogu? Plując ze złości, stary chwycił za siekierę, w odpowiedzi na co synowie ujęli jeden widły, drugi

ciężką łopatę. Zdawało się że już, już runą na siebie wzajem. Niespłoszona bynajmniej tym widokiem Ulana, wywołała przerażonych przybyszów przed chatę na przyzbę, gdzie wyniosła im dzbanek mleka i cztery kromki chleba.

Dziękowali jej serdecznie, z niepokojem nasłuchując odgłosów toczącej się w izbie bójki.

— To nic — uśmiechnęła się dziewczyna — nic sobie nie zrobią... oni zawsze tak... Jedzcie. Jutro o tej porze będziecie w Polsce...

— Dałby to Bóg! — westchnęła pani Turska. Ulana spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Wierzysz w Boga?

— Jakżeby? A ty nie?

— Ja znaju?... wzruszyła ramionami niepewnie — tu wszystkie gadają, że Boga niema... Ale w Polsce w niedzielę biją dzwony w kościołach, w cerkwiach... wszędzie... W Polsce widno jest jeszcze Bóg...

— Ależ on jest wszędzie, moje dziecko!

Dziewczyna machnęła ręką.

— Jakby był, toby nie zwolił... — urwała i skoczyła do chaty, skąd nawoływała ją gniewnie matka. Wędrowcy pozostali na przyzbie, syci, odurzeni słońcem, porankiem i wonią boru. Nieprzeparta senność sklejała oczy. Myśli wirowały chaotycznie. Bliska granica... chata jak z bajki o zbóju Madeju... Jutro w Polsce... Lampka paląca się przed fotografją Lenina... Opatrznościowy Silberman, wdzięcznie pamiętający po latach, że ojciec ich rozmawiał z nim, jak z równym sobie człowiekiem... szum lasu... W Polsce jutro...

Zerwali się na równe nogi w podświadomem przekonaniu, że zaszło coś groźnego, straszliwego.

— Spasajtieś! — krzyczał ochrypłym głosem gospodarz.

— Do lasu! do lasu!— wrzeszczała piskliwie Ulana.

— Milcz durna! W lesie obława! wszędzie szukają... do komory!... Skoro!

Wepchnął przerażonych do izby, z izby przez wąskie drzwiczki, wysoki próg, do alkierza, komórki raczej, ciasnej, ciemnej, bez okna lub wejścia innego niż drzwi łączące z izbą. Na ziemi leżała przegniła słoma. Było tak ciasno, że ledwo się pomieścili.

— Nie ruszajcie się, bo śmierć nasza i wasza — warknął za niemi gospodarz. Zatrzasnął drzwi. Uwięzieni posłyszeli, że zabijano je gwoździami gęsto, mocno. Potem podsunięto pod nie ławę, na ławie stawiano coć ciężkiego, pewno dzieżę.

Po chwili w chacie panowała cisza. Naraz za ścianą załomotały kopyta, do izby weszło kilku ludzi, dzwoniących bronią, mówiących głośno, napastliwie po rosyjsku. Przez szpary w ścianie zamknięci słyszeli wyraźnie, dokładnie każde słowo. Mikołaj Grigorjewicz, „komandir" oddziału krasnoarmiejców, lustrujący granicę, rozsiadł się w izbie, w towarzystwie dwóch podwładnych i jednego przedstawiciela władzy cywilnej. Kazali dać sobie jeść, jajecznicy ze słonią i sera. Gospodyni z płaczem przysięgała, że nie posiada nic w spiżarni, lecz po chwili smakowity zapach smażonej sperki przesączył się aż do komórki. Niepożądani goście jedli żarłocznie, głośno, rozprawiając żywo.

— A to co za drzwi? — zapytał nagle komandir.

— To chlew... pusty, bo świnię zarekwirowali jeszcze wiosną... Chcecie zobaczyć towariszcz komandir?

— Chcę.

— Zaraz otworzę... Jeszcze zimą zabił ją, żeby świnia do izby nie lazła... Dawaj siekierę, Paraska!

Skurczeni więzniowie przywarli do ściany przerażeni. Irka szczękała głośno zębami.

Lecz Paraska darmo przerzucała polana, szukając hałaśliwie siekiery.

— Niema — zadecydowała — Iwan wziął do lasu... Proś Maksym komadira, niech pośle towariszczów naokoło... obaczą tamtemi drzwiami... I gwoździ szkoda psuć...

— Można — zgodził się dygnitarz; — Wasyl i Mikołajewicz, idźcie z chaziajnem zobaczyć...

Kroki obu mężczyzn okrążyły chatę, ścichły. Truchlejący uchodźcy czekali z bijącem sercem co nastąpi. Przecież komórka innego wejścia jak to z izby nie miała! Nie mogli zaś wiedzieć, ani przeczuć bezszelestnej, niemej sceny, która rozegrała się tuż za węgłem domu a w wyniku, której dwa czerwieńce powędrowały z kieszeni gospodarza do kieszeni sowieckiego oficera.

— Chlew pusty, niema w nim nic, towariszcz komandir — meldował po chwili Wasyl Mikołajewicz, wracając do izby.

— Nu, charaszo... — odmruknął dowódca.

Jedli dalej, zapijając gęsto samogonkę. Gospodarz ofiarował dygnitarzom dwa „bociany" wódki, kupionej rzekomo przez niego w mieście. Przyjęte zostały chętnie. Czas mijał im szybko, w przeciwieństwie do nieszczęsnych więźniów, dla których wlókł się niemiłosiernie. Skuleni w niewygodnej pozycji, z podgiętemi odrętwiałemi, ścierpłemi nogami, nie śmieli wykonać najmniejszego ruchu, by nie zaszeleścić słomą, nie zdradzić swej obecności. Nie śmieli odetchnąć. Z przerażeniem myśleli co będzie, jeżeli które kichnie lub zakaszle. Godziny sunęły niemiłosiernie rozwlekłe.

Nagły przeraźliwy huk wstrząsnął chatą, sypnęły się drzazgi z drzwi i ze ściany komórki tuż nad głową Włodka. Matka zerwała się, lecz bohaterskim wysiłkiem stłumiła okrzyk. Milczeli wszyscy, spoglądając tylko na siebie przerażonemi oczami. W izbie komandir chełpił się nowym, niedawno otrzymanym rewolwerem.

— Dobrze bije, popatrzno Maksym...

Nowy huk. Nowa dziura w drzwiach i ścianie niedaleko poprzedniej. Pochylają się nieszczęsne głowy niżej, ach niżej, łomocą serca... Trzeci strzał, czwarty, piąty, już drzwi jak rzeszoto, przeciwległa ściana upstrzona kulami, co cudem jakimś ominęły dotąd głowy i piersi. Siedząca z boku, jakby dla ironji najbezpieczniejsza z nich czworga matka, patrzy nieprzytomnie, jak lada chwila rozstrzelają w jej oczach dzieci. Kule krzyczą tuż koło nich. Nie wiedzieć, co nastąpi wcześniej: czy zabiją ich kule, czy drzwi postrzelane wypadną, odsłaniając zbiegów? Rozpaczna bezsłowna modlitwa rwie się z sercem matki. Poprzez lecące drzazgi widzi oniemiałe z trwogi twarzyczki. Janek nie wydaje szeptu, lecz po ruchu zsiniałych ze strachu usteczek domyśla się, że powtarza: mamusiu... mamusiu... mamusiu... Irka jest blada, jakby ją już uszła wszystka krew, Włodek za każdym strzałem zacina z pasją wargi.

— Dobrze, że świni już niema, ubiliby wy ją, towariszcz komandir — mówi w izbie obojętnie gospodarz.

Komandir śmieje się zadowolony. Wystrzelił już trzy magazyny i odrzuca rewolwer na stół.

— Jakby wy tam jakiego drania chowali, też byłby ubity — stwierdza z satysfakcją, wracając do „samogonki".

Jeszcze godzina długa, przeraźliwa i — tętent kopyt za oknami. Komandir i jego krasnoarmiejcy odjechali. Nie śmieją wierzyć jeszcze umęczone serca.

W izbie słychać łoskot. Maksym siekierą odgina gwoździe przy drzwiach.

— Żywe? — pyta, wsuwając rozczochrany łeb.

— Żywe...

— Wszystkie? Macie szczęście... Można wyjść, już pojechała swołocz.....

— Swołocz... powtarzał, z żalem oglądając podziurawione drzwi. Ani spojrzał na wybladłych, słaniających się na nogach więźniów. Jedna Ulana ulitowała się dygocącej, bladej jak papier buzi Janka i objęła go ramieniem.

— Nie bój się. Zaraz wam damy jeść. Oni już nie wrócą.

— Nie wrócą napewno? — pytała z przerażeniem Irka, oglądając się wahająco na opuszczoną przed chwilą komórkę.

— Nie wrócą — burknął Maksym — będzie spokój z tydzień, siadajcie jeść.

Lecz oni mieli gardła ściśnięte poprzedniem przerażeniem i czarne grube kluski, które w innym czasie smakowałyby tak znakomicie, więzły im w przełyku. Po posiłku, zachęceni przez gospodynią, wyszli do lasu, legli bezwładnie na pachnącej pościeli. Czuli się do cna wyczerpani, wypruci z sił. Trwoga ogarniała ich przed tem co jeszcze nastąpi. Ogarniając wzrokiem trzy najukochańsze głowy, zawierające całą rację i sens jej życia, matka rozważała przyszłość, oddawała ją Bożej opiece. Jutro o tej porze gdzie będą? Może wszyscy czworo szczęśliwi w Polsce? Może martwi. Może, o najstraszliwsza dolo, o rozpaczy, ona żywa a dzieci zabite? Boże! Boże!

Z. Kossak-Szczucka.

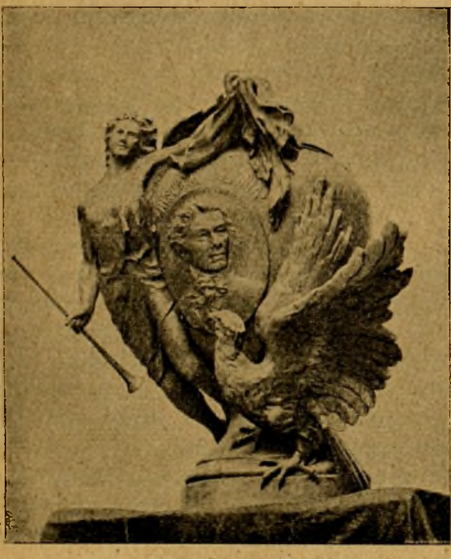
(C. d. n.).

WŁADYSŁAW HR. PLATER I POLSKIE MUZEUM NARODOWE W RAPPERSWYLU.

(Dokończenie).

Dzięki usilnym staraniom Platera, miasto Rapperswyl oddało mu na cel powyższy w dzierżawę na lat 99 swój starożytny, choć zrujnowany zamek, za 100 franków czynszu rocznego, pod warunkiem, że dzierżawca pokryje koszta restauracji i utrzymania lokalu.

Twórca pomnika Stadler, profesor politechniki zurychskiej, przystąpił do restauracji zamku. Równocześnie Plater,



Urna z sercem Kościuszki.

zawiadamiając rodaków i zagranicę o założeniu Muzeum, prosił o ofiarowywanie dlań narodowych pamiątek i dokumentów, przedewszystkiem takich, które rządy zaborcze wywoziły ze zbiorów krajowych, a więc: materjałów odnoszących się do naszych dziejów rozbiorowych i porozbiorowych, oraz pamiątek lub druków polskich, rozrzuconych po krajach europejskich.

Pamiętny dla narodu polskiego był dzień otwarcia i poświęcenia Muzeum Narodowego 23 października 1870 r.

O godzinie drugiej po południu przybył z Zurychu do Rapperswylu statek, na którym powiewała flaga z Orłem polskim. Na pokładzie znajdowało się przeszło stu Polaków, przybyłych z różnych dzielnic kraju i emigrantów polskich z kilku kantonów. Nie brakło tu także delegatów towarzystw naukowych, profesorów i dostojników szwajcarskich.

Gości powitał założyciel Muzeum. Pokazując im zawiązek przyszłych zbiorów, zapełniający na razie tylko dwie sale, temi słowy mowę swoją rozpoczął:

„Muzeum, tak jak dziś istnieje, w chwili swojej fundacji, nie jest bez powabu dla zwiedzających: przeszłość i teraźniejszość Polski zaczyna się w niem malować".

Już w dniu otwarcia znajdowały się tu rzeczy cenne: puhar, ofiarowany przez

Gdańsk królowi Sobieskiemu; adres, doręczony Platerowi w 1833 roku, dokumenty historyczne, zawiązki zbiorów: artystycznego i numizmatycznego.

Na uroczystem posiedzeniu podpisany został przez obecnych akt następujący, wpisany po francusku do specjalnej księgi.

Akt fundacji Muzeum Historycznego Polskiego.

Przyjaciele Polski i Polacy, zgromadzeni dziś w Rapperswylu, sporządzają akt niniejszy na pamiątkę założenia Muzeum Historycznego Polskiego w starożytnym zamku tego grodu, muzeum, które będzie świadectwem wymownem i stałem żywotności narodu polskiego. Zakład ten, własność narodowa Polski, staje się schronieniem dla jej pamiątek historycznych, znieważonych i grabionych na ziemi ojczystej, lub bez dostatecznej rękojmi bezpieczeństwa na przyszłość zostających. Muzeum, będąc obrazem Polski pod względem historycznym, naukowym, literackim i artystycznym, odda znakomitą przysługę sprawie polskiej i stanie się instytucją użyteczną wielkiemu działu oświaty i wolności ludów.

Rapperswyl, d. 23 października 1870 r.

Ponadto złożył Władysław Plater trzy lata później, dnia 8 grudnia 1873 roku, w Zurychu pisemną „deklarację“, której wyjątki brzmią:

...Ja niżej podpisany, założyciel Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswylu, w kantonie St. Gallen, mocą tego aktu rejentalnego stwierdzam darowiznę na rzecz mojej Ojczyzny, Polski, uczynioną już aktami wcześniejszymi, mianowicie i t. d. Jak również odstępuję Narowi Polskiemu prawo zarówno do kapitałów, jak i przedmiotów, znajdujących się obecnie w rzeczonem Muzeum i mogących przybyć doń później.

...W razie, gdy Polska, jak się spodziewać należy, powstanie i ukonstytuuje się jako naród niezależny, Muzeum ma być oddane jej Rządowi Narodowemu, o ile takowy dawać będzie gwarancję trwałości.

...Za mego życia dyrekcja i adninistracja Muzeum Narodowego sprawowaną będzie przeze mnie i przez osoby z mego wyboru. Po mojej śmierci dyrekcja powierzoną zostanie instytucji, którą zgóry wskażę, bądź w Galicji, bądź w Ks. Poznańskiem, lub też, gdyby się to nie dało zrobić, jednej z instytucyj szwajcarskich, którąby przedstawiała wszelkie gwarancje bezpieczeństwa i trwałości i pod warunkami, któreby zupełnie zapewniały Muzeum polskiemu dyrekcję narodową...

Dzięki nieustannym zabiegom Władysława Platera, który umiał rozbudzać gorącemi odezwami ofiarność rodaków, Muzeum w Rapperswylu zapełniało się szybko cennemi darami.

Już w latach następnych wzbogaciły bibliotekę muzealną księgozbiory Towarzystwa im. Kościuszki w St. Gallen, hr. Ostrowskiego. Agatona Gillera. Henryka z hr. Dzieduszyckich Capelli, zamieszkała we Florencji — przysłała zbiór monet i 271 prześlicznych kamei.

Największe jednak pod tym względem zasługi położył Henryk Bukowski, antykwarjusz ze Stockholmu, który do końca życia swojego obdarzał Muzeum licznemi a cennemi pamiątkami historycznemi, odnoszącemi się przeważnie do epoki stosunków polsko-szwedzkich. Znajduje się tutaj portret Władysława IV., dzieło Rubensa, najrzadsze medale i numizmaty, wiele kosztownych przedmiotów zabranych z Polski przez Szwedów, a także „białe kruki“ druków z XV. do XVII. wieku.

Dla rosnących szybko zbiorów trzeba było wyrestaurować niebawem dalsze sale zamkowe I. piętra.

Tysiące cudzoziemców, zwiedzając Muzeum Narodowe w Rapperswylu, uczyło się poznawać Polskę, cenić jej zasługi cywilizacyjne, nadewszystko zaś rozumieć prawo Polski do niepodległego bytu państwowego.

Tu szukali materjału do swoich dzieł historycy zagraniczni, pracujący nad dziejami Polski, Rosji i Słowiańszczyzny. A nikt z naszych uczonych nie zdoła już dzisiaj napisać dokładnie dziejów porozbiorowych Rzeczypospolitej, nie zapoznawszy się z archiwum Muzeum rapperswylskiego.

Sędziwy jego założyciel pracował z coraz liczniejszem gronem wybitnych osób — do ostatnich chwil życia, z niesłabnącą energją i wytrwałością, nad rozkwitem instytucji.

Również staraniem Władysława Platera ukazało się kilka tomów pisma zbiorowego dla czytelników wszelkiego stanu, p. t. „Album Muzeum Narodowego w Rapperswylu". Pierwszy i drugi tom wyszedł pod redakcją J. I. Kraszewskiego; trzeci redagował A. Giller i nadał mu tytuł: „Wieniec Pamiątkowy obchodu 50-letniej rocznicy Powstania Listopadowego".

Solennie obchodzona uroczystość narodowa 29. XI. ściągała rok rocznie do Rapperswylu nietylko liczne grono Polaków, lecz także i cudzoziemców.

Po tradycyjnem nabożeństwie w kościele miejscowym, następowało gremjalne zwiedzanie Muzeum w wielce podniesionym nastroju, niby drugie nabożeństwo, z rozpamiętywaniem chwały i cierpień narodu. Przybyli goście, słuchali mów okolicznościowych, poczem kończono pamiątkowy dzień skromną ucztą składkową.

Jeszcze uroczyściej wypadł obchód 50-letn. rocznicy powstania listopadowego.

Oto w myśl uchwały, powziętej jeszcze przez Sejm polski w Zakroczymiu, dnia 18. września 1831 r. — zarząd Muzeum w Rapperswylu wybił z okazji 50-letniej rocznicy powstania medal z „gwiazdą wytrwałości", którym komitety obchodowe dekorowały sędziwych weteranów.

Tą zaszczytną odznaką obdarzono również i założyciela Muzeum, który „w ciągłej a nieustannej służbie, jak Mohort na kresach, czuwał nad dobrem narodowem, nie znając spoczynku, odmawiając sobie nawet wygód i przyjemności życia, nie zniechęcony brakiem uznania i potwarzami, których mu nie szczędzono".

Kilka miesięcy później, otrzymał Wł. Plater drugi medal. Towarzysze broni z Wielkopolski przysłali mu „złoty wieniec pięćdziesięcioletniej zasługi", z następującem pismem:

„Szan. Pośle i Obrońco sprawy narodowej"!

„Przeszło półwiekowa służba Twoja dla nieszczęśliwej Polski wzbudza w całym narodzie cześć dla Ciebie. Pozwól więc, że i my do życzeń wszystkich rodaków w dniu Twoich imienin pozwalamy sobie przyłączyć się. W przekonaniu, że dopełniamy woli najwierniejszych synów Polski, przesyłamy Ci oznakę 50-letniej służby dla Polski".

Z szacunkiem

Weterani z roku 1830-31.

Poznań, 27. VI. 1881 r.



Mauzoleum w Rapperswylu, gdzie przechowywano serce Kościuszki.

Zbiory muzealne w zamku Rapperswyl zwiększały się coraz bardziej. Wkrótce sale I. piętra nie mogły już ich pomieścić; zachodziła nagląca potrzeba restauracji 2 i 3 piętra mocno zrujnowanego budunku, a także konieczność pomnożenia sił urzędniczych.

Tymczasem dochód z opłat za oglądanie zbiorów oraz ofiary publiczne by-



Cherso, rodzinne miasto O. Bernardino Rizzi.
Klisza ta wyjęta jest z mającej się ukazać monografji o O. Rizzi, p. J. Soplicy.

ły w pierwszych latach istnienia Muzeum tak szczupłe, że twórca jego musiał pokrywać przeważną część wydatków z własnej szkatuły. Ponadto, chcąc zabezpieczyć przyszłość tej narodowej skarbnicy — zapisał jej cały swój majątek. To wszystko było jednakże zbyt mało... Niedobór wzmagał się z każdym rokiem i zatruwał schyłek życia zasłużonemu fundatorowi.

Władysław hr. Plater umarł 22. IV. 1889 r. Rok jego śmierci był właśnie najtrudniejszy dla Muzeum pod względem finansowym.

Pozostałemu Zarządowi instytucji przysługiwało teraz prawo wyboru nowego dyrektora, oraz pomnożenie członków swojego grona. Liczyło też ono wkrótce 14 osób znanych, wpływowych, którzy przeprowadzili bezzwłocznie między sobą podział pracy.

Dyrektorem został pułkownik Józef Gałęzowski, wybitny finansista, który też zarządzał funduszami instytucji.

Wiedząc, że tylko wtedy może ona rozwinąć się należycie, jeżeli oprze się na szerszem kole przyjaciół i sympatyków — Zarząd Muzeum Narodowego zorganizował stowarzyszenie, złożone z ludzi którzy instytucję tę popierali moralnie lub materjalnie od pierwszych chwil jej powstania. Członkowie "zwyczajni" — obowiązani byli płacić na rzecz Muzeum od 3-500 franków rocznie; „wieczyści" składali wyższe sumy, do „fundatorów" zaś zaliczano te jednostki, które poczyniły dla niego odpowiednie zapisy.

Opracowano także statut, który wykazywał cel dwojaki: 1) przechowywanie pamiątek i dokumentów do czasu odzyskanie niepodległości, i 2) zaznajamianie świata cywilizowanego z prawami polskiego narodu do życia politycznego.

Dzięki zjednoczonym staraniom Zarządu, a także coraz to większej ofiarności publicznej — niedobór finansowy Muzeum ustał. Począwszy od 1890 roku dochody wzrastały stopniowo. Można już było pomnożyć koszta administracji, wznowić działalność wydawniczą,

a co najważniejsze — przystąpić do odnawiania dalszych części zamku.

W salach drugiego piętra umieszczono wkrótce zasobną bibljotekę; trzecie — specjalnie urządzone, z ruchomemi ścianami pośrodku — obrócono na galerję obrazów.

W Muzeum rapperswylskiem znajdowała się sala Kopernika, nieustępująca co do wartości okazów Muzeum Kopernikowskiemu w Rzymie. Była tam także sala Kościuszki. Do jednej zaś z baszt zamkowych, zamienionej na wspaniałe mauzoleum, przeniesiono 11. sierpnia 1897 roku, serce Naczelnika.

* * *

Wolna i niepodległa Polska postarała się o przeniesienie w swoje granice tych nieocenionych skarbów.

Zbiory Rapperswylskie sprowadzone zostały do Warszawy w 1929 r. i pomieszczone w Kamienicy Baryczków.

Wisława.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

SPRAWY RELIGIJNE

Ile jest katolików na świecie? Według danych statystycznych w 1929 r. Europa liczyła 208.882.000 katolików; Ameryka 109.097.000; Azja 16.536.000; Afryka 5.330.000; Australja 1.585.000.

Korpus dyplomatyczny przy Stolicy Apostolskiej w 1930 r. składa się z 12 ambasadorów (Brazylja, Niemcy, Polska, Belgja, Argentyna, Francja, Włochy, Hiszpanja, Chile, Peru, Boliwja i Kolumbja), oraz 24 posłów.

Katolicy w Ameryce utrzymują własnym kosztem 329 sierocińców, 624 szpitali. — Kościołów katolickich w Ameryce jest 18.166, kolegjów dla chłopców 219, dla dziewcząt 743, szkół powszechnych 7.225. Cały szereg uniwersytetów katolickich rozwija się pomyślnie licząc po 1000—5000 słuchaczów. Do najsławniejszych należą uniwersytety OO. Jezuitów: Loyolo w Chicago, — Marguette w Millwankee, Fordham w New-Yorku i uniwersytet w Detroit.

Nawrócenia na katolicyzm w Anglji są bardzo częste. W końcu września przeszedł na katolicyzm znany pisarz, Evelyn Wanght. Jedno z pism angielskich wyraża przypuszczenie, że ta zauważona w kołach literackich tendencja do nawróceń płynie z pragnienia należenia do Kościoła, który nie hołduje duchowi kompromisu.

Celem ożywienia ducha religijnego wśród protestantów szwajcarskich powstała tam myśl o reformie nabożeństw na wzór liturgji katolickiej.

W Warszawie odbył się **„Tydzień Wychowawczo-religijny"**, urządzony staraniem akademickiego stowarzyszenia „Juventus Christiana". Prof. Ponikowski, opiekun stowarzyszenia ze strony władz akademickich, w przemówieniu otwierającem



Konkurs fotograficzny: „Z krakowskiego rynku"

konferencje, przyrównał dzisiejszą młodzież garnącą się pod sztandar „Prawdy Chrystusowej“, do młodzieży z przed lat 100, podnoszącej hasło walki z niewolą. Gdy dziś idealizowane jest zło, przez katechizm grzechem zwane, młodzież występująca do walki z niem podnosi sztandar wyzwolenia z pod jego supremacji i czyn jej musi pociągnąć społeczeństwo. Prof. Suchodolski w swym odczycie wskazał na najważniejszy cel wychowania, jakim jest dobroć i moc serca człowieczego opartego na ideach, które nie są z tego świata.

Staraniem studentów uniwersytetu warszawskiego, odbył się też „Tydzień filozoficzno-religijny“. Stwierdza się więc fakt, że nasza młodzież akademicka garnie się do religji i pogłębia swoją wiedzę w tym kierunku.

SPRAWY NARODOWE I POLITYCZNE

W wyborach do Sejmu 16. XI. br. Blok Bezpartyjny Współpracy z Rządem zdobył 249 mandatów, Lista narodowa 63, Centrolew 79, Ukraińcy 21, Niemcy 5, Blok żydowski 7, Katolicki Blok Ludowy 14, Komuniści 4.

W wyborach do Senatu 23. XI. br. Blok Bezp. Współpracy z Rządem zdobył 75 mandatów, Stronnictwo Narodowe 12, Blok Centrolewu 14, Stronnictwo Chrześcijańsko-Narodowe 2, Ukraińcy 5, Niemcy 3.

W pierwszych dniach grudnia nastąpiła u nas **zmiana gabinetu.** P. Prezydent Rzeczypospolitej mianował p. Walerego Sławka, Prezesem Rady Ministrów. W składzie gabinetu zmian wielkich niema. Na dotychczasowych stanowiskach ministrów pozostali: marszałek Józef Piłsudski (min. Spraw Wojskowych), August Zaleski (min. Spraw Zagranicznych), jen. Sławoj Składkowski (min. Spraw Wewnętrznych), dr. Sławomir Czerwiński (min. Wyznań Relig. i Oświecenia Publ.), dr. Jauta-Połczyński (min. Rolnictwa), inż. Alfons Kühn (min. Komunikacji), pułk. Ignacy Boerner (min. Poczt i Telegrafów), pułk. Ign. Matuszewski (min. Skarbu). Nowo mianowany zostaje dotychczasowy podsekretarz stanu w Min. Spr. Wewn.— Bronisław Pieracki, ministrem, p. Czesław Michałowski, min. Sprawiedliwości, — Al. Prystor, min. Handlu, — Mieczysław Neugebauer, min. Robót Publicznych, — Dr. Stanisław Hubicki, min. Pracy i Opieki Społecznej.

9 grudnia rb. o godz. 12 w południe nastąpiło **otwarcie Sejmu.** Premjer Sławek odczytał orędzie P. Prezydenta Rzeczypospolitej, wyjaśniające powody zamknięcia poprzedniego sejmu i wskazujące obecnemu sejmowi jako zadanie najważniejsze reformę konstytucji. Decyzją p. Prezydenta powołany na stanowisko przewodniczącego pierwszych obrad sejmowych, poseł ks. Andrzej Lubomirski, odczytał rotę przysięgi posłów, a ci, wywoływani przez sekretarza w porządku alfabetycznym, odpowiadali: „ślubuję!“ W gronie poselskiem jest 14 kobiet. Drogą imiennego głosowania nastąpił wybór marszałka sejmu. Na 300 ważnych głosów 238 otrzymał dr. Świtalski. Gdy p. Prezydent wyraził swą zgodę na ten wybór, dr. Świtalski oznajmił, że wybór przyjmuje i w krótkiem przemówieniu nakreślił główne linje swego postępowania na tem stanowisku. Zaakcentował, że pragnie jak najmniej korzystać z przysługującego mu prawa sprzeciwiania się wydawaniu sądom posłów, którzyby się dopuścili przestępstw poza sejmem.

V-ty powszechny Zjazd historyków polskich obradował w Warszawie w dniach 30. XI.—4. XII. br. w czterech sekcjach: 1) historji powszechnej, 2) hist. dawnej Rzpltej, 3) historji walk o niepodległość, 4) nauczania historji. W pracach zjazdu brali udział przedstawiciele uniwersytetów w Pradze, w Oslo, w Budapeszcie.

Warszawie przybyły dwie poważne placówki pracy naukowej. Dnia 28. XI. nastąpiło **otwarcie Bibljoteki Narodowej** (przy ul. Rakowickiej, w pawilonie Wyższej szkoły Handlowej). Dnia 2. XII. br. nastąpiłn **otwarcie Bibljoteki i Muzeum ordynacji Krasińskich,** w obu uroczystościach brał udział Pan Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki i liczni dostojnicy duchowni z J. E. Ks, Kard. Kakowskim na czele. Ordynat Edward hr. Krasiński, oddając bibljotekę do użytku publicznego wygłosił piękne przemówienie, które zakończył słowami: „Dążąc żywiołowo do wzniesienia się w kręgi najwyższych myśli i czynów — idziemy my, Polacy, w bój za wolność, za wielką ideę kultury narodowej, za cele powszechne ludzkości w imię tego jedynego prawdziwego postępu, który każe kroczyć poprzez oświecenie, poprzez nauki, sztuki, do jedynego celu człowieka, do Boga, do poznania Go, do umiłowania i zasłużenia sobie na rozkwit pod Jego okiem — z własnego ciągłego, nieśmiertelnego wysiłku“.

Ku uczczeniu 70-tej rocznicy urodzin Ignacego Paderewskiego odbyła się w Warszawie uroczysta

akademja, na którą złożyły się przemówienia i część koncertowa. Ks. prof. dr. St. Feicht zobrazował Paderewskiego jako muzyka — odtwórcę, kompozytora i pedagoga, kończąc przypomnieniem, że posiada on 9 doktoratów filozofji. Płk. J. Modelski zobrazował Paderewskiego jako obywatela i męża stanu, który w życiu publicznem rządząc się niezłomnemi zasadami szlachetności wzniósł wysoko imię Polski. Por. Sierociński przytoczył wyjątki z dzieła Lansinga, min. spr. zagranicznych St. Zjedn. Am., który uważa, że Paderewski jest jeszcze większym mężem stanu niż muzykiem. „Uczciwość środków, zarówno jak uczciwość intencji była zawsze widoczna w jego postępowuniu jako dyplomaty".

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Dla amatorek historji i geografji byłoby ciekawem zwiedzić Muzeum Cywilizacji Powszechnej w Palais Mondial w Brukseli. W olbrzymiem tem muzeum każdy z 3 działów liczy około 20 sal. Taki np. dział historyczny obejmuje historję cywilizacji od prehistorji do czasów obecnych. Osobne sale poświęcone są np. Grecji, średniowieczu itd. Mapy, ryciny, schematy, wykresy statystyczne, modele świątyń, domów i ich wnętrz, kopje rzeźb i waz, wszystko ułożone chronologicznie i objaśnione krótkim tekstem tak, że można się w każdej z sal dosłownie nauczyć historji dostępnym dla każdego, bo poglądowym sposobem. W projekcie jest jeszcze wspanialsze muzeum, które ma stanąć w Genewie i wedle projektu architekty Le Corbusier ma obejmować 5 wielkich gmachów poświęconych 5 kontynentom.

Po katastrofie angielskiego sterowca „R 101" mieszkańcy wioski Allone pozbyli się swych kwiatów okrywając niemi trumny 40 ofiar. W odpowiedzi na ten akt delikatnego współczucia, członkowie londyńskiego Towarzystwa ogrodniczego nadesłali do Allone kilka pak świeżych kwiatów, aby mieszkańcy mieli czem przyozdobić groby swych zmarłych w Dniu Zadusznym. Stało się to samorzutnie, bez jakiejkolwiek presji ze strony dyplomatycznej.

Rad jako trucizna. W roku 1922 umarła robotnica fabryki świecących liter w Niemczech na nieznaną chorobę. Gdy po niej i kilku innych robotników tej fabryki umarło wśród tych samych objawów, wpadli lekarze na przypuszczenie, że chodzi tu o zatrucie radjoaktywnemi substancjami, któremi powlekano litery. Przekonano się istotnie, że kości zmarłych świeciły w ciemności. W szkielecie robotnicy, która miała zwyczaj ślinić pędzel, używany do tej pracy, były nagromadzone pierwiastki radjoaktywne w takiej ilości, że ich obecność odkryć można było po ekshumacji zwłok 7 lat po śmierci.

Muchy stanowią w krajach tropikalnych nierównie przykrzejszą niż u nas plagę. Otóż próbowano się ochronić przeciw nim przez zażywanie związków selenu, który nadaje potowi człowieka nieznośną dla tych zwierząt woń. Cóż kiedy i powonienie ludzkie odczuwało ją równie przykro, a przy tem selen okazał się szkodliwym dla organizmu tak, że musiano tego istotnie radykalnego środka zaniechać.

Drugim ciekawym sposobem działania na zmysły zwierząt w celu ich odstraszenia, jest wieszanie po zasianych zagonach, niebieskich papierków, jako ochrona przeciw wróblom, które podobnie nie znoszą niebieskiej barwy.

Jak się robi karmelki?

Do fabrycznego wyrobu karmelków potrzebne są trzy artykuły: cukier, syrop kartoflany i smak. Ostatni z wymienionych artykułów dodaje się albo w postaci soków, lub konserw owocowych, albo też w postaci olejków eterycznych (np. pomarańczowy, cytrynowy, mandarynkowy) lub esencyj owocowych.

Przy fabrykacji karmelków należy kierować się ogólną zasadą, iż doskonały wyrób wymaga zastosowania najlepszych surowców, tem niemniej jednak bez rutyny i doświadczenia fachowego z najlepszych nawet surowców dobrych i trwałych karmelków wyprodukować nie można.

Fabrykacja karmelków rozpoczyna się od rozpuszczania cukru w wodzie (na 1 kg. cukru około 1 litr wody) i gotowania aż do t. zw. „próby" tj. do takiej gęstości, aby po zanurzeniu patyczka zwilżonego w zimnej wodzie na końcu tegoż patyczka zatrzymała się dość gruba warstwa cukru. Do gotującego się cukru dodaje się syrop kartoflany i mieszaninę tę gotuje się do stanu t. zw. „karmelizacji" tj. do mniej więcej 130° C.

Gotowy płynny karmel wylewa się na zimny stół żelazny, lub marmurowy dodaje się barwę i smak i masę tę miesza się celem równomiernego bar-

wienia oraz nasycenia smakiem całości. Po osiągnięciu tego karmel, jeszcze gorący, stracił już tyle temperatury, iż daje się ręcznie wałkować i wyciągać; wtedy przenosi się na gorący stół, a stąd w formie czy to okrągłego batonu (rodzaj warkocza) wyciągniętego ręcznie, czy też płaskiego kawałka, odciętego dużemi nożycami, podaje się maszynie, która formuje karmelki najrozmaitszego kształtu.

Gotowe karmelki rozsypuje się na duże stoły, celem ostudzenia przy pomocy wentylatorów, aby nie straciły kształtu.

Tak przedstawia się w krótkim zarysie wyrób karmelków w fabrykach. Że fabrykacja ta nie jest ani zbyt prosta, ani łatwa — świadczy cały szereg obszernych podręczników, poświęconych wyłącznie sprawie udoskonalenia karmelków, należących już dzisiaj, śmiało rzec można, do artykułów pierwszej potrzeby.

NAUCZYCIELKA

Przed szkółką białą, wsród dziatwy małej,
Nauczycielka wiejska siedziała
I ukochanie gromadki całej,
Sama jak dziecko wsród nich się śmiała.

Na złotą główkę blask pada złoty,
Usta się śmieją z szczęścia, wesela,
Nie zna zadumy, ani tęsknoty,
Swe szczęście z dziatwą szkolną podziela.

Tuli do siebie główki dziecięce,
Błyszczy radością twarz uśmiechnięta
I szepce biorąc dzieci na ręce:
„Ja was nauczę co miłość święta“

— — — — — — — —

Już czas upłynął, — pół roku może, —
Jakaż w niej dziwna zaszła przemiana!
Pieści jak dawwiej dzieciaki hoże,
Ale twarz smutna, łzami zalana.

Bo czary marzeń nagle prysnęły
W dziewczęce serce weszło zwątpienie
I zbladłe usta cicho szępnęły:
„Ja was nauczę co przebaczenie“.

— — — — — — — — —

Przed szkołą pani siwiutka siedzi,
Słońce oświeca jej białą głowę
I przed nią znowu gromadka dzieci
Co roku inne, co roku nowe.

Dzieci słuchają wszystkie w skupieniu
A postać pani blask opromienia
I wciąż powtarza jakby w natchnieniu
„Dziateczki uczcie się poświęcenia“

J. Ryżewska.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu (oddziały w Warszawie, w Wilnie i w Lublinie) przygotowała na „Gwiazdkę“ szereg nowości, z któremi warto się zapoznać. Mogą one posłużyć na podarki dla dziatwy młodszej i dla starszych. Dzieciom od lat 8, przeznaczono nową serję książek beletrystyczno-religijnych, nazwanych „książkami czerwonemi“ ze względu na kolor okładki. Są to wyjątkowo ładnie wydane książki. Format duży (23×17), papier dobry, druk ładny i wyraźny, artystyczne w dobrym stylu ilustracje, wielobarwna winieta na okładce, precyzyjne wykończenie, w każdym szczególe obmyślone, — to cechy zewnętrznej szaty, pod którą kryje się treść wartościowa. W formie zajmujących, żywo pisanych powieści, mamy tu przedstawione lata dziecięce i młodzieńcze, tych dusz wybranych, które współpracując z łaską doszły do świętości. Bez moralizowania sam tok opowiadania, rozmowy głęboko myślących i żywo czujących dzieci pobudzają do cenienia zjawisk życia według ich wartości nieśmiertelnych. Szczegóły obyczajowe i historyczne, ilustrowane ładnemi obrazkami wzbogacają zasób wiadomości, zdobywanych w szkolnej nauce. W wydawnictwie tem ukazały się dotychczas dwie powiastki-żywoty: **Heleny Pagés: „Siewca radości“**, opowieść o życiu św. Filipa Nereusza, w tłomaczeniu Marji Różańskiej i **Elżbiety Schmidt-Pauli: „Chleb i Róże“**, opowieść o św. Elżbiecie, w tłom. Anny Kicińskiej.

Inną serję książeczek godnych polecenia stanowią

opowieści ewageliczne S. **Jeleńskiego**: **„Woda żywa“** i **„Mała Miriam“**, (o których już pisaliśmy) przeznaczone są dla dzieci od lat 9 ciu — oraz opowieść dłuższa, przeznaczona dla młodzieży. Treść jej stanowią przeżycia garstki mieszkańców Kany i Kafarnaum, którzy dowiadują się o nowym proroku, Jezusie z Nazaretu. Jedni wierzą iż On jest Mesjaszem, inni oczekują znaków, a Zbawca zniża się ku nim i czyni cuda. Myśl główna, przeprowadzona jest według faktów znanych z Ewangelji, na wyrazistem tle obyczajowem, wśród zajmującej fabuły, wyrażona językiem i stylem żywym, charakterystycznym, uwydatniona głębokiemi refleksjami. Książeczka pełna słońca, myśli i serca dobrze zrobi każdemu kto ją przeczyta

Inną znów kategorję stanowią następujące książki: **Ochocki Stanisław: „Tajemnicza dziewczynka“**, ciekawe zdarzenia na tle życia szkolnego chłopców i dziewczynek. — **W. Bonsels: „Marek w lesie“**, przygody sieroty, któremu las zastąpił dom rodzinny. — **E. Atkinson: „Bobik od Franciszkanów“**, opowiadanie o dzielnym psie, któremu pomnik postawiono. **J. F. Cooper: „Prerja“**, z cyklu przygód Sokolego Oka. — **Czeska - Mączyńska: Helusia z Rakowickiego młyna“**. — **Giżycki: „Przez knieje i stepy“**. — Książki te omówimy innym razem obszerniej.

„Dla wszystkich“. Serja C. Bibljoteczka przyrodniczo - geograficzna Nakładem księgarni św. Wojciecha 1930. Prof. Bohdan Dyakowski: Trzęsienia ziemi st. II. str. 62, cena 1·50. — Jadwiga Viewegerowa: Z życia ryb, st. II. str. 92, cena 2·80. — Helena Grotowska: Zwierzęta juczne i pociągowe w obcych krajach, część druga, st. I. str. 66, cena 1·60. — Marja Sadzewiczowa: Słońce, st I. str. 41, cena 1·30. — Janusz Domaniewski: Ptaki naszych lasów, cz. I. str. 88, cena 2·60 cz. II. str. 58, cena 2·60. — Aniela Kozłowska: Egipt darem Nilu, st. II, str. 58, eena 2 zł. — Janusz Domaniewski: Ptaki naszych gór, st. II str. 62, cena 2·60.

Znów kilka dobrych książek przybyło w Bibljoteczce przyrodniczo-geograficznej — warto je polecić zarówno dla starannej szaty zewnętrznej (format, druk, dobre rysunki lub fotografje) jak przedewszystkiem dla bogatej treści, podanej czy to na st. I. (dla młodszych), czy na st. II. (dla starszej młodzieży lub dorosłych) — zawsze jasno, przystępnie, zajmująco. Bogaty, umiejętnie dobrany materjał naukowy przyswajać będzie czytelnik z niesłabnącem zainteresowaniem, z dużą dozą przyjemności, jaka spływa zawsze z głębszego życia się i zapoznania z wielkim cudem przyrody. Dla młodzieży szkolnej książeczki te nadają się doskonale jako materjał na lekturę, np. przy zimowym kursie o ptakach (książeczki Domaniewskiego). Czy o zwierzętach ssących („zwierzęta juczne“) lub przy nauce o geografji („Egipt darem Nilu“, „Trzęsienie ziemi“).

Józef Paczoski: Lasy Białowieży. Poznań 1930. Nakład Państw. Rady Ochrony Przyrody w Krakowie. Monografje naukowe Nr. 1. — Do poważnych głęboko pomyślanych i rzeczywiście naukowo opracowanych dzieł z przyrody Polski przybyła nowa, cenna monografja. Już samo nazwisko autora, znanego socjologa roślin, niegdyś kierownika rezerwatu w Askanji Nowej, mówi wiele. Książka jest owocem jego kilkoletnich badań na terenie Białowieży, która, jako pierwotny zespół leśny na równinach Europy stanowi objekt niezmiernej wagi dla badań nad strukturą biologiczną i typologją lasów. Wyniki tego rodzaju badań posiadają nietylko doniosłość naukową, ale nadto są potężnym czynnikiem rozwoju racjonalnej gospodarki leśnej. To też spodziewać się należy, że książka znajdzie prędko zasłużone uznanie wśród przyrodników i leśników, a i laik może z pożytkiem i zainteresowaniem przeczytać kilka rozdziałów o bardziej ogólnem znaczeniu, zapoznając się z niezmiernie ciekawemi problemami, jakie nasuwa niedawno stosunkowo zrodzona socjologja roślin.

Nakładem wydawnictwa **„Młodzież Misyjna“**, Warszawa 1929 ukazały się następujące powieści misyjne: **J. Spillmann T. J.: „Bracia Koreańscy“, „Pośród walk i zwycięstw“, „Książę z Kin - Sin“. A. Huonder T. J.: „Przysięga wodza Huronów“ Hugo Mioni: „Błogosławieni Męczennicy z Ugandy“. Oraz zbiór odczytów i pieśni: „Światłość niećmy“.**

Dla starszych przeznacza księgarnia św. Wojciecha następujące książki: **X. Biskup Kubina: „Akcja katolicka a akcja społeczna“** — praca pełna głębokich myśli, mająca ważne znaczenie dla pracowników na niwie Akcji katolickiej.

„Wtajemniczenie w filozofję św. Tomasza z Akwinu“ — praca zbiorowa pod red. E. Peillaube, mająca na celu uprzystępnienie zasad filozofji scholastycznej. „Gutsche: Czem być możemy?“

Alberti Kazimiera. Pochwała życia i śmierci. Poezje. (Czarnolas). Nakł. księgarni św. Wojciecha 1930. Cena 4.50. — Pod względem formy śliczna to książka. Wiersze żywe i barwne, język giętki,

nowoczesny, dużo obrazowości, efekty wywołane śmiałemi zestawieniami słów, dużo nastroju, odczucia dla głębokich, smutnych nieraz prawd życiowych. Zarzuciłabym tylko kilkakrotne powtarzanie bardzo oryginalnych zwrotów, które właśnie dlatego, że są oryginalne nie powinny powtarzać się. Zato pod względem treści trudno nam zgodzić się na takie pojęcie śmierci, jakie wprowadza autorka jako bodaj czy nie główną tezę książki. Czyż naprawdę, życie nasze pozagrobowe ma być tylko zrośnięciem się z przyrodą i powrotem na jej łono? Czy wyrosnąć mamy „zielonem i kłączami" jak tego pragnie autorka i duszą wżyć się w duszę przyrody? Nawet w poezji nie powinniśmy tak krańcowo zapominać, że przecież nie jesteśmy penteistami.

MA SIĘ UKAZAĆ

W krótce ukaże się w druku monografja o O. Rizzim Bernardino pióra prof. Jerzego Soplicy. Wyżej podaliśmy fotografję Cherso, miasta rodzinnego O. Rizziego, tak popularnego u nas autora „Słupów telegraficznych", „Kośby", oraz wyżej podanej czterogłosowej kolendy „Przylecieli". O. Rizzi jest dyrektorem krakowsk. chóru Cecyljańskiego

OD REDAKCJI

Marylko z Tarnowa. Wielka radość sprawił mi Twój list. Ufam, że skoro „przełamałaś lody", to teraz częściej pisywać będziesz. Oczekuję zwłaszcza tych wiadomości o waszem życiu szkolnem. — Czy macie samorząd szkolny? — Na to, aby „Dziś i Jutro' stało się dwutygodnikiem, a nawet tygodnikiem? jest jedna rada: Zebrać dwa lub cztery razy większą ilość prenumeratorek, (punktualnych w opłacaniu prenumeraty). Przecież to nie byłoby wcale trudne. Niech by każda z Was choć kilka znajomych do tego namówiła — i już sprawa byłaby skończona.

Zosiu M. Obie krzyżówki starannie wykonane, ale muszą ustąpić miejsca innym dawniej nadesłanym.

Marja Fr. we Lwowie. Zapowiedzianej w liście „pracy" nie otrzymaliśmy, tylko łamigłówkę. Wszystkie próby pióra a więc i wiersze nadsyłać można, ale nie możemy ręczyć czy wszystko będzie wydrukowane. Wybieramy te rzeczy, które ogół czytelników mogą więcej zainteresować. — Chętnie czytamy listy, jakie miłe czytelniczki do nas piszą. Odpowiadamy na postawione pytania. O sposobie układania i przesyłania łamigłówek pisaliśmy już kilkakrotnie. Stosowanie się do tych przepisów ułatwia pracę i gwarantuje nie pominięcie żadnej ze spraw z jakiemi do redakcji ktoś się zwraca. Jeśli w jednym liście ktoś przyśle łamigłówkę, załatwia sprawę prenumeraty, stawia pytania na które chce odpowiedzi od redakcji — to niech się nie dziwi, że jedna z tych trzech kategoryj kwestyj, załatwianych przez 3 osoby — pozostanie nie załatwiona, gdy taki list z rąk do rąk podawać osobie trzeba.

* * *

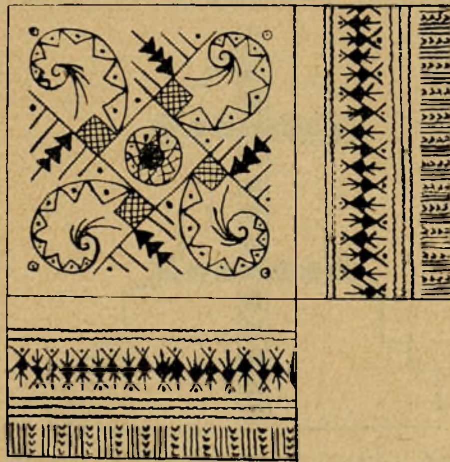
Wszystkim Czytelnikom ślemy serdeczne życzenia wesołych dobrych świąt — szczęśliwego Nowego Roku.

Niech dni wakacyjne przysporzą Wam sił do dalszej pracy — niech miłe chwile w gronie rodziny spędzane przypomną Wam tych, co mniej szczęśliwi, w osamotnieniu i niedostatku czekają na pomoc Waszą. Rozszerzcie serca wasze! Nieście radość!

ŁATWY PODAREK GWIAZDKOWY, DLA OSÓB, POSIADAJĄCYCH MAŁO CZASU

Batik na drzewie

Batikiem zdobić można różne przedmioty drewniane. W tym celu trzeba zaopatrzyć się w pisak, do którego wkładamy wosk z małą ilością kalafonji, rozgrzewamy nad lampką spirytusową, a gdy płynny wosk zacznie wydobywać się z końca pisaka „zakładamy“ wzorek odbity poprzednio na przedmiocie który zdobić chcemy. Odbywa się to w ten sposób, że pociągamy pisakiem po linjach wzorku, zakładając zupełnie płaszczyzny, które mają wypaść jasno. Po założeniu woskiem przedmiot pociągamy farbą, bajcą lub czemś podobnem. Miejsca założone farby nie przyjmują i zostaną białe po zdrapaniu wosku. Można zdobić w ten sposób kasetki, popielniczki, talerzyki drewniane itp. Kto pomysłowy może kombinować kolory zakładając woskiem po kilka razy. Podajemy dwa ładne wzorki na batiki





Może się uda! — Spróbujmy zrobić na święta trochę dobrych rzeczy, np.:

Nugat. 1/4 kg. cukru i 2 białka ubić na gęstą pianę. Wcisnąć do niej sok z pół cytryny. Zagotować 1/4 kg. miodu, odszumować starannie, wlać do niego pianę, dodać 1/4 kg. orzechów włoskich, wzdłuż grubo pokrajanych i zasmażyć razem. Gdy masa zgęstnieje wyłożyć ją na opłatki, przykryć drugim opłatkiem, przycisnąć z wierzchu ciężarem. — Kraje się w podłużne wąskie paski.

Waniljowe rogaliki. 26 dkg. mąki, 22 dkg. masła, 11 dkg. migdałów parzonych i zmielonych, 12 dkg. cukru, wszystko razem wymiesić na stolnicy, wyrobić malutkie rogaliki i piec. — Uważać żeby nie spalić! Po wyjęciu z pieca posypać cukrem z waniliją

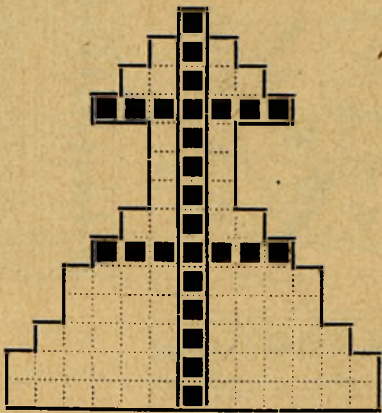
Paluszki słone do herbaty. 1/2 kg. mąki, 1/4 l. mleka, 8 dkg. masła, 2 dkg. drożdży, trochę soli wymieszać, postawić na cieple, by podrosło. Wyrobić ciasto grubości i wielkości małego palca, dać na blachę masłem posmarowaną i postawić na cieple, by jeszcze raz podrosło, posmarować paluszki jajkiem, posypać solą z kminkiem i wstawić do pieca.

(Wedł. Albinowskiej: „Dom Oszczędny“)

ŁAMIGŁÓWKI

ŁAMIGŁÓWKA 1.

(ułożyła Janka Tkaczukówna, ucz. VI. kl. gimn.)



Wpisać poziomo znaczenie niżej podanych wyrazów, tak, że utworzą nazwę obecnie przeżywanego okresu:

1. Spółgłoska, 2. Imię męskie, 3. Ryba, 4. Część roku, 5. Ka ta do gry, 6. Owad. 7. Nazwa aparatu fotogr., 8. Miasto w Niemczech, 9. Dzielnica Polski (II. przyp.), 10. Imię żeńskie, 11. M asto w Wielkopolsce, 12. Kraina płd w Polsce, 13 Imię i nazwisko I. Starosty morskiego w Polsce, 14. Utwór Kochanowskiego.



ŁAMIGŁÓWKA 2.

(uł. A. G.)

1. Nazwa rzeki, 2. „Byli“ w obcym języku, 3, Odzienie 4. Zabudowanie gospodarskie, 5. Ryba, 6. Góry w Polsce (wspak), 7. Gatunek psa, 8. Pobudka, 9. Drzewo owocowe, 10. Budowla, 11. Imię żeńskie. 12. „Błagają“ (wspak), 13. Miasto.

ŁAMIGŁÓWKA 3.

Fig. a.

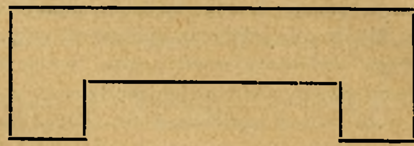


Fig. b.



Z czterech figur takich jak fig. a) ułożyć kwadrat z wyciętą z niego swastyką

Z dwunastu figur takich jak fig. b) ułożyć krzyż

(„Lîlâvatî“).

O ile nie wiesz co to jest „Lîlâvatî“ to zapytaj o to w księgarni św. Wojciecha.— Tam ci powiedzą i inne ciekawe łamigłówki pokażą.

TREŚĆ Nr. 4.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie 8 zł. — Cena pojedyńczego egzemplarza 80 gr. — W Ameryce prenumerata roczna wynosi 1½ dolara. Konto P. K. O. 404.930.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.

DRUKARNIA
POLSKA KRAKOW